

O właścicielach tajemnicy katyńskiej

Tadeusz Wolsza, *„To co widziałem przekracza swą grozą najśmielsze fantazje”*.
Wojenne i powojenne losy Polaków wizytujących Katyń w 1943 roku, Warszawa 2015

Dnia 7 czerwca 1991 r. w mieszkaniu Joanny Fourquier, z d. Hertz, przy ul. Vandrezanne w Paryżu z żółto-zielonej puszki po odżywcze dla dzieci poczułem zapach śmierci. W puszcze były dwie kartki-pocztówki, fotografia ppor. Stanisława Hertza, żółta koperta z datą 17 maja 1943 r. i trzycentymetrowy słonik z trąbą podniesioną „na szczęście”. Teraz należało ustalić, jak zawartość kieszeni Stanisława Hertza z dołu w Lesie Katyńskim trafiła do mieszkającej od 20 lat we Francji jego córki Joanny, która do puszki zaglądała po raz pierwszy w życiu.

Jan Mikołajczyk byłby pierwszym z bohaterów nigdy nie napisanej mojej książki. To on w czerwcu 1943 r. w Michałowicach pod Warszawą odwiedził Jadwigę Hertz. Od niego dowiedziała się, że jest wdową, a Staszka pochowano pod numerem 02425. Mikołajczyka i jego kolegów z Komisji Technicznej Polskiego Czerwonego Krzyża nie za często dostrzegali „wizytujący”. Był też inny powód: za uprawnionego do udzielania wywiadów uznano dr. Mariana Wodzińskiego. Zrobili tak z szacunku, a trochę dla świętego spokoju, bo propagandyści Goebbelsa traktowali teren ekshumacji jako miejsce wycieczek. Zwożono cywilów i wojskowych, żeby „sobie pooglądali i później opowiadali o tym, co widzieli”. To zdanie wprowadza do tytułu swojej książki prof. Tadeusz Wolsza. Nieliczni autorzy – jak dotąd – ujawnili zainteresowanie skutkami odwiedzania miejsca kaźni w Lesie Katyńskim: aresztowaniami, procesami, pozbawianiem pracy, szykanami, inwigilacją, zsyłaniem do obozów pracy, zmuszaniem do ukrywania się i życia w strachu.

W rejestrze nieszczęść nie ma takiego, jakim Łubianka nie ukarałaby – lub nie próbowała ukarać – za udział w ekshumacji w 1943 r., wizytowanie tego strasznego miejsca, czy tylko opowiadanie lub pisanie o zbrodni pod Smoleńskiem. Nie było – jak dotąd – książki na tak wielu przykładach ukazującej, jak potrafi działać „długie ramię Moskwy” i czyje losy powinno wpisać się do aktu oskarżenia o kłamstwo katyńskie.

Z chwilą, nazywanego wyzwoleniem, wkroczenia Armii Czerwonej na ziemię polskie, czekałci wyznaczeni do ochrony sowieckiej wersji wydarzeń pod Smoleńskiem dostali bardziej odpowiedzialne zadania. Powstała nowa lista poszukiwanych osób, które były obecne w czasie ekshumacji. Próbowano – przy pomocy organizujących się grup PPR – ustalać miejsca pracy, zamieszkania zarówno figurantów, jak i ich krewnych. Inwigilacja, np. w Krakowie czy Poznaniu, szybko kończyła się aresztowaniem. Przesłuchania, których treść udało się pozyskać, potwierdzają wiedzę o zainteresowaniach NKWD

i komunistycznej bezpieki podejmującej współpracę z czekistami z Łubianki. Wspomnianego dr. Mariana Wodzińskiego tropiono od drugiej połowy stycznia 1945 r. Sfałszowane dokumenty na nazwisko Cioch i pomoc rodziny pozwoliły wymknąć się pogoni i przedostać do Wielkiej Brytanii, ale i tam bezpieka odnalazła go i rozpoczęło się korespondowanie w imieniu matki. W listach z Tarnowa schorowana kobieta namawiała syna do powrotu i zapewniała, że nic mu nie grozi. Wahał się, dwukrotnie był bliski podjęcia decyzji o przyjeździe na urlop.

Bezpieka kontrolowała korespondencję dzięki aktywności rodzonego brata lekarza – Stanisława Wodzińskiego, tajnego współpracownika ps. „Sto”. Szkoda, że autor nie znalazł miejsca dla tego epizodu. Byłby to jeszcze jeden dowód na pokazanie jak groźni dla komunistycznego systemu byli – zaryzykuję określenie – „właściciele katyńskiej tajemnicy”.

Za takiego „właściciela” uznano również wymienionego przez Wolszę dr. Hieronima Bartoszewskiego. Do dziś w wielu publikacjach spotkać można fotografie wykonane przez niego w Lesie Katyńskim. Dostałem kilkanaście wraz z jego relacją o aresztowaniu przez NKWD. Nie wspomniał tylko, że z jego donosów – sygnowanych pseudonimami „Adam” *vel* „Doktor” – w latach 1947–1955 i 1956–1959 korzystała wrocławska bezpieka.

Dobrze się stało, że autor nie unika ujawnienia takich fragmentów życiorysów, o których bohaterowie milczą. „Mój” Mikołajczyk był najprawdopodobniej jednym z kilku informatorów Komendy Głównej Armii Krajowej o ekshumacji. „Przywiózł ze sobą do Warszawy – pisze Wolsza – wyroby z drewna ręcznej produkcji, odznaki, order, jeden kalendarzyk z notatkami zamordowanego oficera, bogaty zestaw fotografii pomordowanych i cmentarzyska” (s. 62). Czytam te zdania w połączeniu z informacją o złamaniu go przez bezpiekę i wykorzystywaniu jako tajnego współpracownika ps. „Kot” w operacjach resortu przed 1956 r. i ani mi w głowie obrzydzenie, jak w czasie lektury o tajnym współpracowniku „Sto”, czy – nie ukrywam – zdumienie po informacjach o wieloletniej gorliwości konfidenta „Adama” *vel* „Doktora”.

Jako prezent dla mnie odbieram natomiast opowieść o Władysławie Kaweckim, na którego „ostrzyłem sobie zęby” po znalezieniu w Centralnym Archiwum Wojskowym powojennego życiorysu, a później informacji o jego współpracy z propagandową niemiecką rozgłośnią frontową „Wanda”. Poświęca mu Wolsza sporo miejsca, i słusznie, bo, między Bogiem a prawdą, gorliwość reporterską kreatury docenić można było po roku 1990, w czasie tworzenia *Indeksu represjonowanych*, gdy przydatne okazały się jego korespondencje z ekshumacji w latach 1943–1944 publikowane w „Gońcu Krakowskim” i „Ilustrowanym Kurierze Warszawskim”.

Zamiast trzech fotografii Kaweckiego wolałbym np. dwie, a w wolnym miejscu umieściłbym zdjęcie Franciszka Prochownika, robotnika z zakładów powszechnie nazywanych „Zieleniewskim”. Sfingowany wywiad Kaweckiego

oznaczał dla majstra kilkanaście miesięcy pobytu w więzieniu, usunięcie z pracy i kilkuletnie inwigilowanie.

Czytałem książkę Wolszy niezbyt obiektywnie, bo patrząc na nią, chyba za często, z własnego punktu widzenia. Spotkanie z wizytującymi Katyń to dobry pomysł. Równie pozytywnie odbieram wybranie 1–2 bohaterów z różnych środowisk i poświęcenie im więcej miejsca, a o innych tylko wspomnienie w paru zdaniach. Przy 60 nazwiskach książka powstawałaby kilkanaście lat. Bez kwerendy w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie (koszty pobytu), bez dostępu do archiwów w Moskwie (obecnie niedostępne dla wielu badaczy) nie można napisać wszystkiego co być powinno, sprawdzić wielu faktów czy zweryfikować niektórych relacji. Byłaby to praca dla zespołu badaczy, obarczona pytaniem, czy właśnie losy wizytujących miejsce kaźni zasługują na aż tak wielki wysiłek.

Szanując wybór i opisanie losów Kazimierza Skarżyńskiego, dr. Konrada Orzechowskiego, Edmunda Seyfrieda, ks. Tomasza Ruska, ppłk. Stefana Mossora, dr. Adama Szebesty, Ferdynanda Goetla czy Józefa Mackiewicza, upominam się o kilka zdań o porwaniu przez NKWD mjr. Antoniego Hniłki, pomysłodawcy (a może nawet jednego z wykonawców?) akcji wykradzenia Niemcom „spuścizny katyńskiej”. Warto było też wspomnieć o ludziach, którzy w 1943 r. wykradli koperty ze „spuścizną” i ukrywali je m.in. w Kurii Metropolitalnej w Krakowie. Bezpieka pozyskała te materiały podczas rewizji w kurii w 1952 r., zamknęła w magazynach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego (Ministerstwa Spraw Wewnętrznych) i oddała na polecenie gen. Czesława Kiszczaaka w kwietniu 1990 r.

Skoro mowa o krakowskiej kurii, to aż prosi się o pytanie: dlaczego robiąc kwerendę, autor pominął archiwum kurii? Gdy mowa o Krakowie, to trudno zrozumieć pominięcie archiwów: Instytutu Katyńskiego w Polsce i redakcji „Biuletynu Katyńskiego”, Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego, Instytutu Ekspertyz Sądowych, Muzeum Historycznego m. Krakowa czy Archiwum Państwowego (Narodowego). A z warszawskich dlaczego zabrakło Centralnego Archiwum Wojskowego i Archiwum Akt Nowych?

Rozdział o zagranicznych dziennikarzach aż się prosił – moim zdaniem – o jeden czy drugi cytat z ich artykułów. Brakuje mi również fotografii dziennikarzy, podobnie jak ekspertów z Międzynarodowej Komisji Lekarskiej. Bardzo dobrze oceniam rozdziały pokazujące ocenę zbrodni przez „polski” Londyn i skomunizowaną Warszawę oraz przygotowaną w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego listę obywateli do inwigilowania; to mało znana sprawa. Bardzo dobrze się stało, że autor pisze o ks. Leonie Musielaku, ale, niestety, nie zauważył jego wspomnień wydanych w Krakowie. Przy okazji, pięćdziesięciolecie święceń kapłańskich ks. Leon postanowił uczcić odprawieniem mszy św. w Lesie Katyńskim. I odprawił, filmowany przez telewizję

„Duna” z Budapesztu. Jeżeli ktoś myśli, że czytelnicy nie chcieliby zobaczyć fotografii tego kapłana w czasie spowiadania pasażerów samolotu Warszawa–Moskwa, to się myli. Podobnie myli się, oglądając fotografię zakrytego kapturem człowieka (s. 109), zeznającego przed komisją Raya Maddena jako „prawdopodobnie Skarżyński”. Ten świadek zeznawał w Chicago 14 marca 1952 r. i obraziłby się za propozycję nałożenia kaptura.

Zastanawiam się nad wprowadzeniem do książki informacji o procesach dziennikarzy, także autorów kącików szachowych i przepisów kulinarnych, sądzonych za kolaborację (patrz: powojenne procesy). Jaki tu związek z wizytowaniem Katynia? Bardziej już pasuje – mówiąc po krakowsku – rozdział o zbrodni katyńskiej w świetle listów do „Fali 49” i „Fali 56”. Czy spodoba się wszystkim czytelnikom? Nie wiem, ale dla mnie jest prezentem, bo nie znałem tej korespondencji.

Książka Tadeusza Wolszy to nie tylko prezent dla mnie. Autor – znawca tematyki katyńskiej jak mało kto – nie tylko w kraju – wskazuje drogę do dalszych badań. Każdy niemal z przywołanych przez niego bohaterów – to gotowy temat chociażby pracy magisterskiej, a kilku: Marian Wodziński, Jerzy Wodzinowski, Leon Musielak, Julius Epstein, Roman Martini i rodzina Smorawińskich – ciekawych książek; nawet Władysław Ryszard Kawecki czy Hieronim Bartoszewski. Wskazując obecność tak wielu ludzi w ukrywaniu i ujawnianiu tajemnic Katynia, udowodnił Tadeusz Wolsza istnienie góry lodowej, która mimo upływu tylu lat nadal jest pełna tajemnic. W którymkolwiek miejscu otworzy się pracę wzrasta zainteresowanie następnymi stronami i rozdziałami. We mnie wzrastała zazdrość, że nie zdążyłem ujawnić i opisać wielu wydarzeń, takich jak choćby „korespondencja porucznika Hertza”, a dzisiaj wiek i zdrowie nie pozwoli na dalsze poszukiwania.

Stanisław M. Jankowski

Jerzemu Prochwiczowi w odpowiedzi na jego mało przekonujące argumenty

Po przeczytaniu tekstu odpowiedzi Jerzego Prochwicza (PHW nr 4 z 2015 r.) na moją recenzję jego książki (PHW nr 2 z 2014 r.), czuję się zobligowany aby ponownie zabrać głos w tej sprawie i wyjaśnić pewne istotne dla tematu Wojsk Ochrony Pogranicza problemy, których on sam, jak wynika z omawianej pracy, nie dostrzega lub nie chce dostrzec. Na samym początku mój adwersarz zaznaczył już, mijając się przy tym z prawdą, że większość moich zarzutów „budzi poważne wątpliwości”. Raczyl przy tym, niestety, ustosunkować się tylko do części moich uwag lub ocen, a przy tym posługiwał się manipulacjami, chcąc wypaczyć zasadność podnoszonych przeze mnie spostrzeżeń.